

Mirosław Derecki  
LONDYŃSKIE SPOTKANIA:  
ZWIERZENIA PANA STASIA

Wydarzenie, o którym mowa poniżej, miało przebieg następujący: 3 września bieżącego roku, około godziny piątej po południu, wyszedłem ze swojego pokoju przy Twyford Street w dzielnicy Acton, w zachodnim Londynie, celem udania się na przechadzkę. Początkowo nie miałem dokładnie sprecyzowanego planu spędzenia wolnego czasu, ale gdy doszedłem do Uxbridge Road, która jest ważną magistralą, łączącą śródmieście z kilkoma zachodnimi dzielnicami, wpadłem na myśl, aby zwiedzić okolice budowy wielkich bloków mieszkalnych, powstających na Sheperd's Bushu.

Za angielską nazwą - Sheperd's Bush - kryje się jej polski odpowiednik - Krzak Pasterza, co brzmi bardzo poetycznie i sielsko. Być może, przed wiekami właśnie tutaj rozciągały się podlondyńskie łąki, na których pasterze strzegli owiec. W każdym razie dzisiaj pozostało tylko wspomnienie - dzielnica jest zabudowana rzędami jednakowych, piętrowych domków, zamieszkuje ją ludność średniozamożna, w znacznej części robotnicy.

A więc, wyszedłszy z mojej ulicy, skręciłem w Uxbridge Road i tam wsiadłem do piętrowego autobusu linii 207, którym po opłaceniu należności za bilet w wysokości jednego szylinga, dojechałem do przystanku - Sheperd's Bush Green, co brzmi po polsku jeszcze bardziej poetycznie, - Pasterza Krzak Zielony. Od biedy w dzisiejszych czasach może tłumaczyć tę nazwę spory, zadrzewiony skwer z wydeptaną trawą. Tuż obok skweru znajduje się ruchliwa stacja metra, a zaraz za nią Uxbridge Road wciska się pomiędzy dwa rzędy parkanów z falistej blachy, aby dwieście metrów dalej przejść w elegancką, ocienioną drzewami Holland Park Avenue. Tam Sheperd's Bush się kończy, a zaczyna zamieszkała przez ludzi majątnych „gmina” - Borough of Kensington and Chelsea.

Właśnie na samym pograniczu dwóch londyńskich światów, za blaszonym parkanem, rozciąga się teren wielkiej budowy. Już z daleka widać wysokie korpusy wieżowców, oplecionych rusztowaniami i błyskających iskrami aparatów spawalniczych.

Dla przejeżdżającego tędy kierowcy blaszane obramowanie Uxbridge Road układa się w jednolitą, nieprzerwaną ścianę. Tylko przechodzień dostrzeże w niej luki i furtki, za

którymi ciągną się wąskie dróżki i pasáže, zawieszane często nad głębokimi wykopami budowlanymi, a sprawiające wrażenie korytarzy, bo również obudowano są parkanami. Te korytarze prowadzą w gęszcz uliczek i zaułków, które jeszcze zostały oszczędzone przez wielką budowę. Ale ich los zastał już przesądzony. Wkrótce i one rozsypią się pod uderzeniami młotów pneumatycznych, znikną pod gąsienicami buldożerów. Na razie spełniają rolę gastronomicznego zaplecza budowy. W marniejących, opuszczonych przez właścicieli budynkach, bardziej przedsiębiorczy londyńczycy zakładają „cafes” - kafejki, a właściwie - jadalnie dla robotników. Na piętrach domów, w których się mieszczą, widać okna z powybijanymi szybami, zza okien zieją ciemne, puste wnętrza „flatów”. Na parterze wre jeszcze życie.

Ożywiony ruch panuje tutaj tylko w pewnych określonych porach dnia. Z końcem przerwy śniadaniowej, z końcem przerwy na lunch, kafejki szybko pustoszeją, właściciele jadalni opuszczają żaluzje w oknach wystawowych, okolica wydaje się wówczas niemal wymarła. Jedyne „puby” pracują do godziny trzeciej. Potem i z nich wyprasza się zasiedziały robotników-piwośzów. Następny raz podwoje „pubów” otworzą się szeroko o szóstej po południu, na powitanie ludzi wracających z budowy.

Gdy przybyłem na miejsce, była prawie szósta. Pokręciłem się chwile po pustych i ciemnych uliczkach i, gdy z uczuciem pewnego niedosytu miałem zamiar wracać do domu, na jednej z uliczek (nazwy dzisiaj nie pamiętam) zobaczyłem oświetlone okna „pubu”. Nad drzwiami wejściowymi wisiała żelazna latarnia, obok niej wymalowany był czerwony ptak, poniżej - złote litery układały się w napis: „The Red Cock”. Inaczej mówiąc - niechcący trafiłem do baru „Pod Czerwonym Kogutem”.

Kiedy wszedłem do środka, na sali znajdował się tylko jeden klient. Musiało być najwyżej dwie albo trzy minuty po szóstej i „pub” został otwarty dosłownie przed chwilą, bo inaczej już by tutaj tkwili liczni piwośze. A to był jeszcze ten krótki moment próżni, „ziemi niczyjej”, kiedy oni gdzieś tam w swoich pakamerach myją się i przebierają z myślą o wieczornym kuflu, a tutaj „manager” już uwija się za bufetem, szykuje „szkło” i sprawdza zawory w beczkach, ale minie jeszcze kwadrans, nim pojawi się pierwsza grupa spragnionych. „Pub” w takich chwilach wygląda jakby trochę odrealniony: płoną wszystkie światła, z zaplecza dochodzą głosy obsługi, ale dzwonek przy drzwiach jeszcze milczy, a sala jest pozbawiona ludzkiego gwaru, papierosowego dymu - niezwykle jasna, zimna i nieprzytulna.

Klient siedział frontem do wejścia, oczy miał przysłonięte dużymi, ciemnymi okularami. Te okulary sprawiły, że w pierwszej chwili go nie poznałem, chociaż postać wydała mi się znajoma. Niski, szeroki w ramionach, lekko przygarbiony. Krótko przystrzyżone, na języka, rude włosy. Dopiero gdy podszedłem bliżej upewniłem się, że to

właśnie on. „Cześć, panie Stasiu - powiedziałem. - Cożeś się pan za tymi ciemnymi okularami tak zakamuflował?

W tym miejscu konieczna jest chwila retrospekcji. Otóż jakiś tydzień przedtem pan Stasio został pobity w pubie „Princess Victoria” przez ex-marynarza, Ceśka-Bandytę, za to, że napluł na Polskę Ludową. Dokładniej: napluł na stół, ale intencja była właśnie taka a nie inna. Cesiak podsiniaczył mu wtedy prawe oko. Przez następne dni pan Stasio nie pokazywał się nikomu, bo było mu wstyd. Byłem teraz chyba pierwszym ze znajomych, który spotkał go od chwili tamtego incydentu.

Przyznaje, że moje pytanie nie było najbardziej na miejscu, ostatecznie łatwo się domyśleć, do czego w pochmurne dni służą ciemne okulary. Powiedziałem jednak tak właśnie, bo się nie zastanowiłem. W sumie wypadło to trochę arogancko, trochę porozumiewawczo, a trochę złośliwie, ale, jak się okazało, wcale nie tak źle, jak by się można było spodziewać. Pan Stasio wcale się nie obraził, może był nawet zadowolony, że wyrąbałem swoje prosto z mostu.

- Siadaj pan - powiedział - i krzyknij, żeby nam przynieśli dwa pajnty „Guinness”. Wszyscy już wiedzą? - zapytał.

- Wiedzą - odparłem. - Najpierw powiedział nam Witek-Rybak, ale nie całkiem dokładnie, a dokładnie to już wiemy od Miszki.

- No, taak - zamyślił się pan Stasio ! długo kiwał głową. Potem uniósł nieco okulary: - Patrz pan, panie Mirek, jak mnie ten łobuz urządził...

- Brzydko to wygląda - stwierdziłem.

- No - powiedział pan Stasio.

Następnie, przez dziesięć chyba minut, siedzieliśmy w milczeniu. W tym czasie „manager” przyniósł dwa kufle piwa „Guinness” i w tym też czasie zorientowałem się, że - choć tego na pierwszy rzut oka nie było widać - pan Stasio jest już zdrowo zalany. Musiał pić od rana, a może nawet od wczoraj lub przedwczoraj.

Nie odzywałem się, bo nie wypadało zapytać o nic innego, jak tylko o tamtą bójkę. Zagajanie pana Stasia na inny temat zabrzmiałoby fałszywie. Ostatecznie, obydwaj dobrze wiedzieliśmy, że tylko tamta sprawa się liczy. Zresztą byłem przekonany, że i tak zacznę mówić wszystko, co mu leży na wątrobie, właśnie mnie, osobie na wpół obcej, człowiekowi, który wkrótce wyjedzie do kraju i kontakt z nim urwie się na zawsze.

Zamówiłem - teraz na mój rachunek - Jeszcze dwa piwa i kupiłem w automacie torebkę fistaszków, pomieszanych z rodzynkami. Dopiero jak wypiliśmy mniej więcej po pół kufła, jak zagryźliśmy tymi fistaszkami, pan Stasio ocknął się z zadumy i wskazując na mnie oskarżycielsko palcem, krzyknął: „Nienawidzę was wszystkich z kraju, nienawidzę jak cholera, nich to jasny piorun spali, zniszczyliście mnie, zgnoiliście mnie!”

- No i klawo, że nas pan nienawidzi - powiedziałem zaczepnie, bo poczułem się dotknięty, tym bardziej, że już miałem w głowie prawie litr mocnego piwa, a byłem bez obiadu.

Pan Stasio nie zwrócił na moje słowa uwagi.

- A pan wie, kto ja jestem, a pan wie, kto ja byłem? - zapytał. - Ja jestem pijak. Pijaczyna naajgorszego gatunku. A wie pan, dlaczego pijak jestem? Bo Polskę kocham. Tylko nie waszą Polskę kocham, a moją Polskę kocham i miłuję. Wie pan, dlaczego ja się szmacę? Bo tam moja żona na wiarę z komunistą żyje i moje dzieci komunistą wychowuje. I mi napisała, że nic, żadnych prezentów oni ode mnie nie chcą i żadnych pieniędzy ode mnie nie potrzebują. Pan wie, kim ja byłem, ile pieniędzy zarabiałem? Panu się, panie Mirek, zdaje, że Stasio całe życie nic, tylko przynieś-wynieś, zmieszaj cement, wstaw futrynę? Otóż pan się cholernie myli. Ja przed wojną w Warszawie szkoły Wawelberga kończyłem i dlatego później nie byłem u Anglików za gnoja, tylko na precyzyjnych aparatach pracowałem. I bywało tak, że jak przyszła tygodniowa wypłata, pięćdziesiąt funtów na rękę brałem, a to były czasy, kiedy funt posiadał swoją wartość, nie to co teraz. Domek miałem już prawie spleacony i wszystko... Ale jak się dowiedziałem, że moja własna, rodzona żona, z komunistą, no, załamałem się. Jak ja wtedy zacząłem pić, panie! Domek poszedł, wszystko... Praca poszła. Pytam się: czy można pracować na precyzyjnych aparatach, gdy się tak ręce człowiekowi trzęsą, że nie można w nich utrzymać mikrometru? Nie można. Ale młotek albo łopatę się utrzyma. Dlatego Stasio jest czym jest, a nie tym, czym był.

Coś tam jeszcze mówił, ale nie dosłyszałem, bo nagle zauważyłem, że sala jest pełna robotników, którzy głośno rozmawiają, śmieją się, palą papierosy i przez chwilę zapatrzyłem się na nich, na ludzi, żyjących w swoim kraju. Gdy znów spojrzałem na pana Stasia, na stoliku stały już dwa nowe piwa, pan Stasio wdychał i sapał. Pomyślałem, że chyba ta rozmowa prędko się nie skończy. Nawet wiedziałem, o czym zaraz będzie mówił, bo wyglądało, że się na dobre rozkrochmalił: jak stał z armią w Egipcie, a potem we Włoszech, jak wojował, jak po wojnie angielskich celników w butelkę nabijał - o tym wszystkim, o czym już tyle razy opowiadał. Więc żeby uniknąć partii wspomnień, którą już znałem prawie na pamięć, zapytałem, choć była to niedyskrecja:

- A nie mógł pan tej żony sprowadzić po wojnie do Londynu, albo sam wrócić do kraju?

Przez chwilę milczał, a potem powiedział niechętnie:

- Pan myśli, że tak łatwo wracać do żony, jak się kawalerskiego życia skosztowało przez parę albo paręnaście lat? A jakby nawet: mógłbym ostatecznie ja do niej, mogłaby ona do mnie... Ale z czym było wracać, z pustymi rękami? No, i polityka. Siedziałem, czekałem, może się co odmieni, czy ja wiem...? Zresztą, co tu gadać. Mam swoje zdanie o sobie, o żonie

i o polityce. I tak panu jeszcze powiem: wszystko, co wtedy Ceśkowi powiedziałem o was w kraju, to przy tym zostaje.

Coś mi się w wywodach pana Stasia, w tym jego pijackim bełkocie, nie zgadzało. Fakt, że mocno już mi szumiało w głowie. Ale tak: tu niby własny domek i wysokie zarobki, a tu znowu, brak pieniędzy i pijaństwo z powodu żony, i jeszcze owa wciąż z uporem maniaka akcentowana nienawiść do nas, do tych „z zagranicy”... Nie zgadzało się, nie pasowało i właśnie dlatego nagle wszystko stało się jasne i proste: pan Stasio nigdy nie miał domku i nigdy nie studiował u Wawlberga. Był zawsze tym, kim pozostał - niewykwalifikowanym robotnikiem, „majstrem do wszystkiego”. W 1939 roku wyszedł z armią do Rumunii, przedostał się do Francji, potem do Anglii, następnie z konwojem wojska opłynął Afrykę, stacjonował w Egipcie, odbył kampanię włoską. W ciągu lat wojny dosłużył się stopnia sierżanta. Może dlatego, że szybko awansował, tym łatwiej uwierzył Anglikom, że po zakończeniu wojny czekają go w Anglii splendory łatwe, wygodne życie, byle tylko nie wracał na wschód. Rzeczywistość okazała się inna. Ale pan Stasio był wytrwały. Wierzył i czekał. Był zarazem jednym z tych, których wojna zdemoralizowała. Przywykł do życia z dnia na dzień, do lekkiego wydawania pieniędzy. Wcale nie tęsknił do rodziny i wcale nie miał zamiaru sprowadzać jej do Anglii. Nawet gdyby mu się wiodło dobrze. To byli obcy ludzie, żyjący w zabitym kącie Polski. On - zaznał świata.

Wielu wracało do kraju albo dorabiało się na miejscu, pan Stasio trwał zawieszony w próżni. Pracował od przypadku do przypadku, byle zarobić na życie i rozrywki. Po wojnie za ciężką robotę płacili dobrze. Nigdy nie był abstynentem. Wręcz przeciwnie. Jak nam nieraz opowiadał, pił, bo lubił wódkę. Kiedy stuknęła mu pięćdziesiątka, kiedy nadszedł list z Polski od żony, wyjaśniający ostatecznie wszystko, bez niedomówień, kiedy poczuł się „oficjalnie” sam i nikomu niepotrzebny, wówczas w głowie pana Stasia zaczęły się budzić pewne refleksje. Ale spoza nich wyzierała prawda bardzo oczywista i bardzo smutna dla samego pana Stasia. I dlatego o ileż wygodniej było odgrodzić się od niej murem niechęci i nienawiści wobec innych. Inaczej mogłoby się zacząć nienawidzić samego siebie.

Do takich wniosków doszedłem podczas przypadkowego spotkania z panem Stasiem w barze „Pod Czerwonym Kogutem”, na rubieżach londyńskiego Sheperd's Bushu, późnym wieczorem, trzeciego września, bieżącego roku. Datę pamiętam dokładnie, bo kiedy tak siedzieliśmy, „manager” włączył telewizor. Właśnie szedł program specjalny BBC, dotyczący wysiłku zbrojnego narodu polskiego podczas drugiej wojny światowej. Przypominam sobie jeszcze, że pan Stasio płakał, a i mnie nie było na duszy zbyt wesoło.